

Jerzy Roman Krzyżanowski

Księga pogody ducha

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 1-2 (12-13), 95-102

2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

KSIĘGA POGODY DUCHA

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI (USA)

Pamięci profesora Austina Warrena,
współautora *Teorii literatury*,
u którego miałem zaszczyt studiować.

Jest mi dobrze. Wciąż na nowo wydaje mi się, że życie jest piękne, że właściwie zawsze miałem szczęście, bo bez żadnego uszczerbku tyle przeżyłem, a teraz jestem w kraju, w którym — jeśli będę jeździł ostrożnie — nie mogą mi nawet wlepić mandatu (s. 50–51)¹.

A dalej:

Jadę czerwonym dusterem autostradą królowej Elżbiety II, jest ciemno, *rush hour*, rzeka krwi to tylne światła karawany samochodów przede mną, rzeka złota to przytłumione reflektory wozów pędzących z Toronto do miasteczek wzdłuż brzegów jeziora: do Oakvill, Clarkson, Missisaugi, Etobicoe i dalej do Hamilton, do St. Cathrine's, do Niagara on the Lake. Przestał padać śnieg, tysiące sztucznych światel na ziemi oświetla chmury lecące nisko nad równiną Ontario, a chmury lśnią niczym *stardust*. W tym pobłyskującym wieczorze wyciągają się w moją stronę nierównej długości czarne i białe palce drapaczy chmur dauntaunu, pionowe złote szachownice, mrugają do mnie czerwone sygnały na iglicy Canadian National Tower, które ostrzegają lądujące jumbo jety, aby się nie nadziały na szpikulec. Piękna, zimowa, bezpieczna, kanadyjska przedbożonarodzeniowa noc, nie do podrobienia w Europie, w tej części Europy skąd pochodzę. Przede mną noc, w której nic mi się nie może stać, najwyżej powali mnie zawal — spóźniony efekt wielu nocy w ojczyźnie albo tego, co kiedyś nazywałem ojczyzną (s. 50).

I wreszcie konkluzja: „Czuję się jak w raju. Właściwie jestem w raju” (s. 54).

Niestety ciągle jeszcze zbyt mało znany w Polsce, Josef Škvorecký, jeden z czołowych czeskich pisarzy, urodził się w roku 1924 w miasteczku Nachod, tuż nad obecną polską granicą, a miejscowość tę, nazwaną w powieściach Kostelec, uwiecznił tak trwale i wyraźnie, że gdy przejeżdżający tamtędy do Czech turysta zatrzyma się na

¹ J. Škvorecký, *Przypadki inżyniera ludzkich dusz: entertainment ze starymi tematami życia, kobiet, losu, marzeń, klasy robotniczej, tajników, miłości i śmierci*, z jeż. czeskiego przeł. A. S. Jagodziński, Sejny 2008. [Przy cytatach pochodzących z tego wydania numery stron podano w tekście w nawiasach okrągłych — red.]

rynku chciałoby się powtórzyć za Mickiewiczem „pomnij zatrzymać swe konie, by się przypatrzeć...”² temu urokliwemu miasteczku stanowiącemu tło wielu utworów pisarza. Dla przypomnienia wystarczy przytoczyć jeden choćby fragment powieści *Fajny sezon*:

[...] majowe niebo wisiało nad Kostelcem jak pastelowy baldachim. Księżyc był nadal perłowy, gwiazdy także niczym perłki³.

Turysta bez trudu trafi tam do każdego niemal sklepu, do każdego niemal domu opisanego w wielu powieściach, a obecnie wracających w *opus magnum* Škvorecky’ego, powieści *Przypadki inżyniera ludzkich dusz*, noszącej podtytuł: *Entertainment ze starymi tematami życia, kobiet, losu, marzeń, klasy robotniczej, tajników, miłości i śmierci*. Powieść otrzymała prestiżową nagrodę Angelus w roku 2009.

Ale Kostelec tworzy zaledwie tło dla dziesiątków zaludniających tę powieść postaci, rówieśników, a zwłaszcza rówieśniczek narratora będącego *porte-parole* autora, który jedną ze swych poprzednich licznych powieści (*Fajny sezon*) poświęcił historii dwudziestu nieudanych podbojów miłosnych, jakich młody Daniel Smirzicky usiłował dokonać w Kostelcu. Kostelec, bowiem jest jednym biegunem, od którego rozpoczynają się przypadki późniejszego pisarza, ironicznie określonego ulubionym stalinowskim mianem inżyniera ludzkich dusz, a przypadki te wiodą go aż pod biegun drugi, do kanadyjskiego Toronto, gdzie Smirzicky zostaje uniwersyteckim wykładowcą literatury... amerykańskiej. Młodzieńcze zafascynowanie jazzem stopniowo przeradza się w poważne zainteresowanie kulturą amerykańską, co znajduje wyraz w podziale *Przypadków...* na imponujące wiedzą i zrozumieniem tamtejszej literatury rozdziały, z których każdy oparty jest na sylwetce jednego z głównych jej przedstawicieli — Poe, Hawthorne, Twain, Crane, Fitzgerald, a także Conrad i prawie zupełnie dziś zapomniany twórca fantastycznych powieści z gatunku *horror* H. P. Lovecraft (1890–1937). Ta konsekwentna droga rozwoju postaci bohatera świadczy o żelaznej logice kompozycji powieści, pozornie zbudowanej z dziesiątków luźno powiązanych wątków, w istocie zaś będącej starannie przemyślaną i realizowaną strukturą. Ustawicznie przeplatają się w niej, wzajemnie zazębiają i kontrastują sprawy kosteleckiej młodości i kanadyjskiej dojrzałości, przy czym przytoczone tu na początku zdania o „kraju” odnoszą się na przemian raz do rodzimych Czech, raz zaś do kraju przybranego, nowego. Oba są jednakowo ważne.

Škvorecky należy do tych czeskich pisarzy, którzy po aktywnym udziale w Praskiej Wiośnie opuścili kraj w roku 1968 tworząc nową, intelektualną emigrację, mocno związaną z krajem, z którego musieli wyjechać nie tracąc żywego kontaktu z tamtejszą rzeczywistością. Stąd bogactwo przeżyć zdobyte w dwóch krajach, stałe przeplatanie się dwóch głównych wątków historycznych i kulturowych, świeżość emigracyjnych doświadczeń i porównywanie ich lub kontrastowanie z istniejącą w Czechach sytuacją.

Kontrast jest, jak wiadomo, jedną z najciekawszych metod ukazywania zjawisk i postaci literackich, toteż Škvorecky korzysta z obfitej dostępnych przykładów i raz za razem przeciwstawia sobie lub porównuje tak przeżycia w obu krajach, jak i zachodzące w nich zjawiska, a doświadczenia młodości, często w powieści przywoływane, po-

² Właśc.: „pomnij zatrzymać twe konie, / Byś się przypatrzył jezioru”; A. Mickiewicz, *Świ-
też*, [w:] tegoż, *Dzieła*, t. I: *Wiersze*, Warszawa 1993, s. 57 — red.

³ J. Škvorecky, *Fajny sezon*, przeł. P. Godlewski, Warszawa 1999, s. 102–103; zob. też: ten-
że, *A Magic Mountain and a Willowy Wench*, Toronto Life 1996 (March), s. 84–87. Najpełniej-
sza dotychczas opublikowana biografia pisarza ukazała się w książce: J. Škvorecky, *Talkin’
Moscow Blues*, New York 1988, s. 15–80.

jawiają się w kontekście zjawisk współczesnych, kanadyjskich, tym do porównania względnie skontrastowania łatwiejszych, że czerpanych z życia współczesnej młodzieży, z którą narrator jako wykładowca styka się na co dzień. „Doświadczenie Wendy jest głównie telewizyjne, moje pochodzi z europejskiego *theatrum mundi*” (s. 96). I dalej:

Ogarnęła mnie rozpacz z powodu tych rzesz studentów, których profesorem literatury amerykańskiej nie jest ktoś stamtąd, tylko człowiek z Harvardu — na zajęciach poświęconych funkcji kolorów w *Szkarłatnej literze* rzeczywiście omawia funkcję kolorów w tym utworze. Dla nich chyba naprawdę na zawsze pozostanie to tylko filmem (s. 97).

Ogółem biorąc studenci przedstawieni są z sympatią, z jednym tylko wyjątkiem Araba Hakima, który uciekł ze Stanów Zjednoczonych przed poborem do wojska, a teraz toczy z profesorem ideologiczne boje reprezentując postawę młodego marksisty, operującego znanymi sloganami.

Warto zwrócić uwagę na poświęcony dydaktycznej działalności Smirzickiego rozdział zatytułowany *Conrad*. Omawiając powieść *Jądro ciemności* wykładowca zadaje studentom pytanie: „Czemu tam jest Rosjanin?” (s. 546). I sam daje na nie odpowiedź będącą nowatorską interpretacją tej sławnej książki: „To proroctwo”, po czym wyjaśnia: „Na temat Związku Radzieckiego” (s. 549). Kurtz, zdaniem nowoczesnego wykładowcy, to uosobienie komunistycznego dyktatora, a bezimienny Rosjanin symbolizuje ubezwłasnowolniony naród bezwzględnie mu posłuszny.

A ja — konkluduje Smirzicki — dobrze opłacany profesor, biorę się za zabawną szarlatanerię, która być może nie jest żadną szarlatanerią, albowiem więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie... (549).

Bardziej ironiczny niż do studentów jest stosunek narratora do jego uniwersyteckich kolegów, przedstawianych z sympatią, ale i lekceważeniem, takich jak Kanadyjczyk Rocky eksperymentujący z otoczeniem przez zawieszenie w swoim gabinecie spadochronu („dla zbadania psychologicznych efektów jego działania”, s. 31), lub pobicie tego wykładowcy sztuki współczesnej przez gromadę studentów w ramach ćwiczeń seminaryjnych, czy wreszcie dziekan w następujący sposób reagujący na wieść o awanturze w klasie:

Well — dziekan wypuścił z fajki kółko wonnego dymu. — Ale jakie są... ehm... kryteria, na których głoszący będą opierali swoje oceny? — Takie same jak na każdym innym kursie — Rocky nie daje się zbić z tropu. — *Well* — powiedział znów dziekan, po czym na chwilę umilkł, wypuścił kolejne kółko dymu i dodał: — *I see*. Ale co widzi, nie wyjaśnił (s. 229).

Mając tedy ogólnie określone miejsca akcji powieściowej spróbujmy ustalić także jej czas. Powieść otwiera niedatowany list do narratora, którego poznajemy, gdy rozpoczyna przymusową pracę w montowni samolotów Messerschmitt umieszczonej pod koniec wojny w Kostelcu. Danny spotyka tam

długą, kościstą dziewczynę o bardzo pięknej, białej twarzy, w chustce jak u baby i w bawelnianych pończochach, na których miała jeszcze doszczętnie sprane narciarskie skarpety (s. 24).

Dziewczyną tą jest Nadia, a ich następne spotkania będą miały miejsce w zimie, z rozwoju wypadków dającej się rozpoznać jako zima roku 1943. Natomiast list kończący powieść, autorstwa tego samego, co na początku, niezbyt wprawnego w ortografii i składni chłopca imieniem Lojza, pisany jest „po 30 latach” (s. 849), a zamieszczony został bezpośrednio po nekrologu innego jeszcze towarzysza młodości, Benno Manesa,

który zmarł w czasie koncertu zespołu zwanego Jazz 1975 (s. 843). Pamiętając datę urodzenia Škvorecký'ego (1924) i wzmiankę o wieku Danny Smirzický'ego („ja, przeżywszy pięćdziesiąt lat”, s. 50), wystarczy spojrzeć na autorskie daty pisania powieści (październik 1975 – czerwiec 1977, s. 850) żeby zorientować się w zbieżności faktów z fikcją literacką, a więc latach 1943–1974 stanowiących czas powieściowy.

Ale ramy przestrzenne i czasowe stanowią tylko tło wydarzeń, w których bierze udział niezliczona ilość postaci zarówno z czasów młodości narratora, jak i jego wieku dojrzałego, a tak ich ilość jak i celowo zakłócona chronologia wypadków sprawiają, że warto się pokusić na uporządkowanie i pewnego rodzaju skatalogowanie i głównych *dramatis personae*, i rozmaitych postaci ubocznych, niejednokrotnie grających ważne, choć marginesowe w stosunku do wątku głównego role. Zacznijmy zatem od rodziców narratora, państwa Smirzický'ich z Kostelca.

Papa Smirzický, pasjonat gimnastyki i gimnastycznych ćwiczeń, członek Sokola, weteran i inwalida z walk cesarsko-królewskiej armii austriackiej, upozowany jest wyraźnie na postać w literaturze czeskiej klasyczną, na „dobrego wojaka Szwejka”:

Tato był na wskroś Czechem. Zawsze ulegle służył, myśląc przy tym zupełnie co innego, niż powinien. Ale służył (s. 51).

Widać to najlepiej w scenie przesłuchania go przez hitlerowskiego sędziego, który w końcu okazuje się towarzyszem walk pod Zborowem podczas I wojny światowej, a wzajemne rozpoznanie dzielnych wojowników kończy się generalnym pijaństwem. Papa Smirzický jest człowiekiem liberalnym, w odróżnieniu od swej drobnomieszczańskiej małżonki. Kiedy rodzice znajdują Daniela w zgoła niedwuznacznej sytuacji z Nadią, ojciec mruga do dziewczyny porozumiewawczo („jak czarny charakter z grotesek Chaplina”, s. 304), jest wyrozumiały a nawet gościnny, podczas gdy matka, „mówiąca z przekąsem niczym lady Windermere” (s. 305), nie umie ukryć swego oburzenia romansem jedynaka z robotnicą, prostą góralką z Czernej Hory.

Dorastający Daniel w domu tylko mieszka, gdyż jego prawdziwe, koleżeńskie i emocjonalne życie toczy się wśród przyjaciół z jazzowego zespołu. Znamy ich wszystkich z poprzednich powieści, a zwłaszcza skandalizujących *Tchórzy (Zbabělci)*⁴, książki, której publikacja wywołała prawdziwą burzę wokół debiutującego autora, oskarżanego przez komunistów o wypaczenie rzekomo bohaterskich czynów czeskiej młodzieży, a nawet obrazę Armii Czerwonej w dniach ostatnich walk II wojny światowej. Pojawi się w niej po raz pierwszy Danny Smirzický w otoczeniu grupy szybko dojrzewającej młodzieży, dla której jazz jest ważniejszy od udawanego bohaterstwa, a flirty i miłostki nie mniej ważne niż komunikaty prasowe o zbliżającym się ze wschodu froncie. Danny-saksofonista występuje tu obok przyjaciół-muzyków, takich jak Benno, Fonda, Haryk, Lexa, Vence, Jindra a także dzielny konspirator Przema Skoczdo pole i malarz Rosta oraz kilku innych, najczęściej w towarzystwie nieodstępnych dziewcząt takich jak Lucie, Helena, Dagmar i Marie, czy wreszcie idealizowana przez Danny'ego Irena.

Ci młodzi ludzie (rocznik 1924) pojawiają się we wszystkich niemal książkach Škvorecký'ego, a opisani są tak starannie, że można każdego z nich odróżnić od innych na podstawie wyglądu, zwyczajów i słownictwa, przy czym tworzą grupę jednolitą, wyznającą te same zasady lub lekceważenie zasad innych, a w ostatnich dniach maja 1945 roku zjednoczoną w przygotowaniach do zakończenia niemieckiej okupacji odważnym zrywem, niesłusznie określanym jako tchórzostwo. Ich wyczułone muzyką na

⁴ J. Škvorecký, *Zbabělci*, Praha 1958 (przeł. pol.: *Tchórze*, przeł. z jęz. czes. E. Witwicki, wstępem opatrzył W. Nawrocki, Katowice 1970).

każdy fałszywy ton uszy doskonale odróżniają także fałsze w mowie — sztuczne deklaracje patriotyzmu, przesadną, choć tylko rzekomą odwagę, relacje o nieistniejącym bohaterstwie. Nieufni wobec niemieckiej propagandy równie sceptycznie odnoszą się do podobnych pierwszych odgłosów z drugiej strony frontu, z góry uodpornieni na nowomowę komunizmu mającą na długie lata zapanować w ich własnym kraju. To z ich właśnie szeregów wywodziła się antykomunistyczna opozycja Praskiej Wiosny 1968 roku. Ich partnerki zajmują także poczesne miejsce w twórczości pisarza, a jego młodzieńcza fascynacja dziewczyną imieniem Irena nie tylko przewija się jako stały motyw w jego powieściach, ale znajduje w *Przypadkach* niespodziewaną, kanadyjską kontynuację w postaci studentki profesora Smirzicky'ego, Irenę Svensson, z którą mimo dzielących ich różnic nawiązuje bliskie stosunki seksualne.

Żadnej dziewczyny, która ma na imię Irena, nie potrafiłbym naprawdę skrzywdzić. To bariera jeszcze z dawnych lat (s. 13).

Trzecią wreszcie grupę ludzi, z którymi Danny musi żyć na co dzień, stanowią potraktowani z humorem robotnicy z montowni Messerschmitta. Poza najbliższą mu Nadią ukazani są oni satyrycznie, choć z pobłażliwą sympatią, a ich prowadzone w ubikacji rozmowy stanowią mogą przykład ocierającego się o farsę ludowego humoru. Podczas gdy niefrasobliwy robotnik nazwiskiem Niejezchleba toczy po terenie montowni tam i z powrotem puste beczki, dwaj półanalfabeci, Kos i Malina, toczą nieprzerwanie dyskusje na tematy przekraczające nie tylko ich wiedzę, ale pojmowanie świata, przy czym obaj nie szczędzą sobie wzajemnie dobrotliwych wyzwisk czerpanych najczęściej z dziedziny zoologii. Jedyny pozytywny wyjątek w tym środowisku stanowi majster Vachouszek, tak w okresie okupacji niemieckiej jak i w latach powojennych głęboko wciągnięty w pracę konspiracyjną, za co zapłacić mu przyjdzie głową w komunistycznym więzieniu. Niemieckie natomiast kierownictwo montowni ukazane jest szkicowo z wyjątkiem postaci obermajstra Uippelta, który okazuje się nie tylko repatriowanym ze Stanów Zjednoczonych działaczem Bundu, ale prowadzi jakąś bliżej nieokreśloną działalność antyhitlerowską i w końcu ginie zamordowany przez komunistów nazajutrz po zakończeniu wojny. Doskonale zamaskowany („Patrzył na mnie jasnoniebieskimi oczami spod krótkiego języka, a wąsik a la Wódz drgał mu nerwowo na okrągłej twarzy”, s. 115), Uippelt reaguje na „kolaborancką” deklarację przerażonego chłopca jednym słowem wypowiedzianym po angielsku poufałym półgłosem: *Bullshit*, a potem niespodzianie kontynuuje: „*Don't kid me, son. You don't believe we're goin' to win this war*” (s. 117). Jedno wtrącone tu zdanie: „Miałem wrażenie, jakby mówił to Wallace Beery” (s. 117) przybliżyła postać Uippelta zwłaszcza czytelnikowi, który pamięta tego znakomitego aktora zwykle grającego role ponurych przestępców lub bezpardonowych detektywów.

Przy okazji zauważyć warto, że w *Przypadkach*, podobnie jak w poprzednich powieściach, Niemcy mówią po niemiecku, Kanadyjczycy po angielsku, a nawet znaleźć tam można cytowany po rosyjsku wiersz Jesienina-Wolpina⁵ *Kruk* (s. 15–17) i całe strofy propagandowych pieśni śpiewanych w Kanadzie przez chór Armii Czerwonej (s. 500–503) — a wszystkie te teksty podane są bez tłumaczenia. Ten postulat posuniętego do najdalszych granic realizmu językowego zdaje się znajdować potwierdzenie w pracach znanej tłumaczki literatury angielskiej, Elżbiety Tabakowskiej, która zakłada

⁵ Aleksander Jesienin-Wolpin (1925), syn poety Siergieja Jesienina. Matematyk i poeta. W 1972 wyjechał z ZSRR i zamieszkał w USA; jeden z inicjatorów ruchu na rzecz praw człowieka w Związku Sowieckim.

istnienie „czytelnika idealnego”, kogoś, kto zna i rozumie wywody autora bez uciekania się do pomocy tłumacza, z tym przecież, że krąg tego typu czytelników poszerzyć tu należy do osób znających język oryginału, w tym przypadku czeski i język tłumaczenia — polski, do ludzi znających niemiecki, angielski i rosyjski⁶.

Fragmety powieści umieszczone w scenerii kanadyjskiej dają pisarzowi jeszcze większe pole do popisu dzięki scenom ukazującym środowisko czeskiej emigracji. Wykorzystując różnice między poprawnym angielskim i poprawnym czeskim, a ich wersjami używanymi przez osiadłych w Toronto Czechów Škvorecky stwarza przezbawne neologizmy, w rzeczywistości nieodbiegające od sposobu myślenia i mówienia nawet przedstawiciele najnowszej fali przybyszów zza oceanu, przy czym oddanie ich tłumaczenia w polskiej wersji fonetycznej jest niewątpliwym osiągnięciem tłumacza książki Andrzeja S. Jagodzińskiego.

Język ma korzenie w tym, jak ludzie mówią — pisze Škvorecky. — Kiedy zamykasz go szczelnie w książkach, traci soki, usycha. Oczywiście starasz się to zastąpić ornamentami, ozdobami, złożoną składnią, ale to jest sztuczne i jak wszystko, co sztuczne, po jakimś czasie marnieje, wychodzi z mody i umiera. Żywi pozostają tylko ci pisarze, którzy wnoszą do swoich książek język w jego naturalnej formie — oczywiście stylizowanej, ale nie korygowanej! (s. 318).

Zgodnie z tą zasadą otrzymujemy wierny zapis fonetyczny języka używanego przez wielu emigrantów, w tłumaczeniu przetransponowany na zapis w języku polskim. Jedną z najbardziej kolorowych postaci w grupie torontońskich Czechów to panienka lekkich obyczajów,

niesprawiedliwie, lecz sympatycznie nazwana Debilinką⁷, trąkocze: Haj, Danny! Co jest, że cię tak dawno nie widziałam? To jesteś taki lejzy, że nawet nie zadzwonisz? Ja będę rili engry, jak do mnie kiedyś nie dropniesz. Anfrocnetly teraz jestem akurat bify, a enylej, ty masz w środku taki jakiś dejt, rajt? No to baj, baj, i nie chcę słyszeć żadnych ekskjuzów! (s. 54–55).

Milenka Cabicarowa, Debilinka

przebiegła koło mnie w jakichś srebrnych potwornościach z gejowskich kramików na Yonge Street; ma to chyba z ćwierćmetrową podeszwę i jest całe usiane bzdurnymi, złotymi słowami w rodzaju LOVE, DEAR, HEART, DOVE; widzę jednak, że to nie jest takie głupie, bo w tym słowniku poezji romantycznej schował się malutki napis FUCK, a kawałek dalej jeszcze mniejsze OFF. Całość błyszczy i sięga Debilince aż do kolan. Potem widać ze ćwierć metra kuszących ud w nylonach, a wyżej najminimalniejsze supermini ze sztucznej skóry w kolorze różowego staniolu (s. 55).

„Idealnemu czytelnikowi” znającemu angielski nie trzeba podawać oryginalnej pisowni angielskich słów, wystarczy odczytać głośno podaną tu fonetyczną transkrypcję żeby zrozumieć, że język Debilinki daleki jest od klasycznego brzmienia języka Szekspira czy nawet wymowy przeciętnego mieszkańca stolicy prowincji Ontario. Charakterystykę tej postaci dopełnia jej upodobanie do strojów demonstracyjnie erotycznych, co w Czechosłowacji traktowane było jako polityczna demonstracja przeciw reżimowi komunistycznemu.

Podobnie ma się rzecz z fonetyką języka czeskiego w ustach czeskiej młodzieży z Toronto: Oto próbka piosenki śpiewanej przez cztery dziewczynki o imionach i na-

⁶ E. Tabakowska, *Tłumacząc się z tłumaczenia*, Kraków 2009, s. 45.

⁷ *Debility* (ang.) — osłabienie funkcji (umysłowych).

zwiskach odbijających zmiany zachodzące wśród emigracji: Jennifer Brabczakowa, Pearl Czerychova, Rosemary Novakova i Heather Sziszkova:

Kjeby mi kossali
s tyszionca fybiracz
too by ja fieeciała
kczóreemu roczke daacz... (s. 365).

Inną jeszcze kategorię emigrantów stanowią ludzie, którzy mówią po czesku, ale już myślą po angielsku, co znajduje wyraz przede wszystkim w składni ich języka i używaniu kalki angielskich idiomów. Tak na przykład „pan McEachen w garniturze od nowojorskiego krawca i z sygnetami konkurującymi z biżuterią pana Zawynatcha, nazywał się naprawdę Macecha, ale brzmienie Mesesza mu się nie podobało” powiada: „Pieniądze nie znaczą jednej sprawy” lub „taki kompartment by chyba nie mogli fitować do kary. Serio w to wątpię” (s. 383). Przykłady podobnych wypaczeń, zrozumiałych dla czytelnika znającego język angielski, są zawsze zabawne, ale zbyt liczne, żeby je cytować, wystarczy zatem powtórzyć stwierdzenie autora o oddawaniu języka w naturalnej formie, bez względu na to, czy odpowiada ona standardom gramatyki i wymowy, czy też wypacza je w zależności od osoby mówiącej.

Miejscomi Czesi spotykają się najczęściej w gospodzie Mourek Inn przy Eglington Avenue i pochłaniają ogromne ilości knedli zapijane piwem, podczas gdy muzycznie akompaniują im instrumenty do wybijania o ziemie taktu, dźwięcznie nazwane „ozembuch”. Toczą się tam zarówno zatracające fantazją debaty polityczne mające na celu obalenie komunizmu w kraju, jak i osobiste intrygi czy zaloty, gdzie prym wodzi niezawodna Debilinka usiłująca uchwycić kandydata na męża, co się jej w końcu udaje. Cały ten czesko-torontoński folklor odmalowany jest ironicznie, ale z sympatią, a profesor Danny Smirzicki, stojąc społecznie znacznie wyżej od swych etnicznych współbraci, czuje się po prostu jednym z nich.

Niewiele natomiast łączy go z odwiedzającymi przybyszami z kraju, których większość stanowią mężczyźni i kobiety nasyłani na pisarza przez krajowe władze bezpieczeństwa bądź to w celu inwigilacji, bądź prób prowokacji. I tych także narrator traktuje z pobłażającym humorem, najczęściej wykorzystuje ich skłonność do kanadyjskiej whisky i w stanie takiego czy innego upojenia alkoholowego odsyła taksówką do ich hotelu. Zdarzają się jednak wśród odwiedzających osoby trudne do rozszyfrowania, dwuznaczne, co powoduje szereg humorystycznych sytuacji ukazanych z niezawodnym humorem Škvorecký'ego, ale bywają też groźne zjawy z czasów młodości. Jedną z nich jest dawny słuchacz seminarium duchownego Uher, potem oficer Służby Bezpieczeństwa, obecnie „goguś w tweedzie od Harrisa, wymodelowane włosy, spryskane dry lookiem”[...] „ta komórka rakowa przechodząca metastazę tu, w Colonial Tavern, obok sympatycznego Murzyna i białej panienki z *women's lib*” (s. 784–785). Podsluchawszy przypadkową rozmowę po czesku na Empire State Building w Nowym Jorku Uher postanawia wykorzystać obecność Smirzický'ego dla skompromitowania zbyt wymownej turystki i organizuje całą intrygę wokół jej niewinnej wypowiedzi krytykującej reżim komunistyczny (s. 698–703).

Opis tej drobnej, zdawałoby się, sprawy jest jedną z niezliczonych anegdot, jakimi ilustrowany jest główny wątek dzieł Daniela Smirzický'ego, stanowią one jednak o bogactwie i różnorodności materiału czerpanego z czasów sięgających historii Czeskiego Legionu w Rosji lat 1918–1919 aż po Praską Wiosnę roku 1968. A wszystkie skrzą się niezwykłym humorem sytuacyjnym i słownym, barwnością postaci, niespodziewanymi konfliktami i dowcipem stanowiącym o ogólnym tonie powieści. Czy będą

to opowiadania starego legionisty, pana nazwiskiem Skoczdo pole (s. 252–259), czy wojenne wspomnienia blagiera o zielonej twarzy (s. 598–604), czy karykatura przemądrzałego uciekiniera ze Stanów, wiecznego studenta O'Reilly (s. 604–620), przezabawny epizod przemytu z Czechosłowacji manuskryptu rzekomo bezcennej książki (s. 564–620), czy wreszcie którakolwiek z dziesiątków wtrąconych w główny wątek, choć blisko z nim powiązanych historyjek — wzięte razem tworzą one barwny, pełen prawdziwego humoru pejzaż przypadków, jakie spotykają „inżyniera ludzkich dusz” w jego wędrówce od malowniczego Kostelca po piękne Toronto.

I mimo że nie brak tu akcentów prawdziwie dramatycznych, nieraz tragicznych, tę wielką powieść odklada się z prawdziwym żalem, tak jak z żalem żegna się wiernego przyjaciela, którego losami żyło się przez długi, szczęśliwy czas.